

# POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XXI

Warszawa, dnia 12 Stycznia 1929 roku

Nr. 2

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

## MECHANIZM ŻYCIA

15)

Następnie, wzięła się do redakcji pism. Tu jej się trochę lepiej powiodło, bo zaraz pierwsze pismo, do którego się zwróciła, okazało zainteresowanie skandalem. Zapytano się, czy może dostarczyć jakich rzeczywistych szczegółów. Z najzupełniejszą wiarą odpowiedziała, że dostarczy. I sekretarz redakcji kazał jej się zgłosić wieczorem. Zwracała się następnie do doktorów, adwokatów i najrozmaitszych osób na chybił trafił, według tego, jak brzmienie nazwiska, albo nawet numery telefonów wzbudzały w niej zaufanie. Ogólny wynik jednak tych rozmów był raczej ujemny. Olbrzymia większość, okazywała bardzo mało współczucia dla wstrząsających alarmów Czesławy i to napełniło ponowną nienawiścią do społeczeństwa, ale nie osłabiło w niej ani ochoty do walki, ni wiary w zwycięstwo. Przeciwnie. Przeczucie, że tylko ona jedna naprawdę chciała ratować Przecławskiego, dodawało jej zawziętości. Kilkakrotnie głupstwami, a nawet impertynencjami. Było to dla niej dowodem, że trafiała na wrogów Przecławskiego, może wtajemniczonych nawet w spisek. Ale najbardziej oburzali ją fałszywi przyjaciele w rodzaju Sobieszczaka. Pewną ulgę we wściekłości, jaka ją nurtowała, tworzyły przelotne chwile marzeń. Był to jeden i ten sam obraz w różnych odmianach. Uwolnienie Przecławskiego, tryumf i dopiero wtedy porachunki z fałszywymi przyjaciółmi.

Sobieszczak przyniósł z miasta dokładne szczegóły o obłędzie Przecławskiego. Przecławski zwarjował nagle na ulicy. Pobiegł na plac Trzech Krzyży i wszedłszy na skwer przed kościołem, zaczął wygrażać przechodniom rewolwerem, bo mu się wydawało, że wszyscy szli niszczyć krzyże. Wygłaszał przytem rodzaj kazania, przeplatane przekleństwami na heretyków i wkońcu dwa razy wystrzelił, ale kule na szczęście nie trafiły nikogo. Kilku policjantów musiało go obezwładnić. Czesława wysłuchiwała tego opowiadania z pogardliwym uśmiechem.

— Pan w to wierzy?

— Czy ja wiem? — odparł Sobieszczak, kręcąc głową.

— A ja nie wierzę. To są wszystko ohydne wymysły. Napewno ktoś inny strzelał i zwalili na Przecławskiego.

Obecność Sobieszczaka przeszkadzała już jej telefonować, więc się zabrała do korespondencji. Ułożyła wzór listu, który postanowiła rozesłać możliwie największej ilości znanych ludzi w mieście. W książce telefonicznej znalazła również adres Przecławskiej. Nie wątpiła, że żona Przecławskiego za-

pomni o wszystkich urazach i z całym poświęceniem dopomoże jej do ratowania Przecławskiego. W głębi duszy najbardziej liczyła na tę pomoc, ale musiała sobie przyznać, że sama również nie zmarnowała dnia i zadowoleniem napełniała ją myśl, że odrazu będzie się mogła pochwalić przed Przecławską rozpoczętą akcją. Czyjaś życzliwa pomoc była jej niezbędną, już choćby z tego powodu, że, jak obliczyła, sam koszt marek na listy, które należało rozesłać, równał się prawie jej rocznej pensji. Przecławska napewno mogła wyłożyć potrzebną sumę. Wróciwszy do domu, Czesława zaczęła się bardzo starannie ubierać. Wizyta u Przecławskiej przejmowała ją jakimś uroczystym nastrojem — przygotowywała się do niej, jak do spowiedzi. Włożyła nawet świeżą bieliznę. Uroczysty nastrój potęgowało w niej jeszcze poczucie własnej szlachetności w stosunku do Przecławskiej. Przebaczała jej to, że ośmieliła się kiedyś wyjść za Przecławskiego.

Przecławska była wysoka, szczupła brunetka ze zwiędłą twarzą, małomówna i przesadnie dystygowana! Przedewszystkiem wytrzymała Czesławę przeszło półgodziny w przedpokoju. Czesława uważała to za rzecz zupełnie naturalną. Przez uchylone drzwi widziała rąbek ciemnego salonu i nagle myśl, że u Przecławskiego patrzyła z gabinetu na jego salon tak samo przez uchylone drzwi i że salon był tak samo ciemny, napełniła ją takim wzruszeniem, że nie mogła powstrzymać się od płaczu. Pokojówka zastała ją z chustką przy oczach.

— Pani prosi.

Przecławska czekała na Czesławę w niewielkim pokoju, którego całe umeblowanie składało się z kilku szaf i dwóch krzeseł. Na widok zapłakanej Czesławy na twarzy jej odbił się wyraz przykrew nudy.

— Cóż to za sprawa? — odezwała się dość opryskliwie.

— Ja w sprawie pani...

Czesława zawahała się. Nie chciała powiedzieć „pani męża”, bo nie mogła uważać Przecławskiego za męża osoby, przed którą się znalazła, a w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, żeby powiedzieć — Zygmunta. — Jednakże to wahanie trwało krótko. Skupiła w sobie całą energię i dokończyła dobitnie.

— W sprawie Zygmunta.

— Jakiego Zygmunta?

— Pana Przecławskiego.

Przecławska zmierzyła Czesławę drwiącem spojrzeniem.

— A któż pani jest?

— Ja jestem narzeczoną pana Przecławskiego.

— Ach, tak?

Przecławska uchyliła drzwi.

— Józiu!

Odrązu w progu zjawiała się służąca, która miała nakazane widocznie czuwać w sąsiednim pokoju.

— Wyprowadź tę pannę.

Czesława skoczyła w tył i oparła się plecami o ścianę, jakgdyby szykując się do obrony. Zbladła, oczy roziskrzyły jej się wściekłością, przez chwilę słowa wymówić nie mogła, tylko poruszała gorączkowo ustami, wreszcie wybuchnęła:

— Tak? Za drzwi mnie chcecie wyrzucać? O, nie, niedoczekanie wasze! Może tu pani stróżów sprowadzić, policję, a ja nie wyjdę! Wszystkim rozpowiem, całe miasto się dowie! Zamknęliście go w szpitalu warjatów, żeby się ze mną nie mógł ożenić! Ja odrazu to wiedziałam, ale sama sobie nie chciałam wierzyć, bo nie myślałam, żeby kobieta była zdolna do takiej podłości. Zdawało mi się, że to tylko tamci. Ale żeby tak się mścić na człowieku.

Wyrzuciła to z siebie jednym tchem, przerażliwym krzykiem i ta gwałtowność jej wybuchu w pierwszej chwili oszołomiła zupełnie i Przecławską i służącą. Patrzyły na siebie przerażone i bezradne.

— To warjatka — odezwała się wreszcie służąca.

— Warjatka! Ja ci pokażę warjatkę! — pogroziła jej Czesława pięścią. — Ze mnie warjatki nie zrobicie. A Zygmunt mnie kocha i będzie moim mężem!

Wyraz twarzy Przecławskiej dowodził, że powoli uspakajała się i opanowywała sytuację. Początkowe nietyłe nawet oburzenie, co zlekceważenie Czesławy ustąpiło miejsca ciekawości. Rewelacje tej jakiejś niezwyklej narzeczonej mogły rzucić pewnie światło na przeżycia Przecławskiego przed obłędem. I Przecławska postanowiła ją wy badać. Przewszystkiem, oczami dała znak służącej, aby się oddaliła.

— Niech się pani uspokoi — zwróciła się do Czesławy.

Czesława przypisała zmianę tonu Przecławskiej obawie. Zaczęła więc jeszcze głośniejszym krzykiem.

— To niktzemność! Szlachetna kobieta tak nie postępuje. Jak panią porzucił, to trzeba się z tem zgodzić. I tak mu pani zawiązała życie.

— Ależ ja się z tem najzupełniej zgodziłam — odparła spokojnie Przecławska.

Ta odpowiedź zaskoczyła trochę Czesławę. Z niedowierzaniem spojrzała na Przecławską.

— Ja oddawna chcę się rozwieść z mężem — ciągnęła Przecławska. — Nie moja wina, że z tego nie korzystał. Państwo dawno się znają?

— Nie, niedawno.

— A odkądże pani jest jego narzeczoną?

— To wszystko jedno.

— Zapewne.

— Ale jak zostałam jego narzeczoną, toście go zaraz zamknęli.

— Jaktomy? A któż pani powiedział, że ja brałam w tem jakikolwiek udział? Nie rozumiem nawet, jakim sposobem mogły powstać takie plotki.

— A dlaczego go pani nie zwolni z zakładu?

— Przez cały dzień tem się zajmuję. Są różne formalności.

— Czy pani prawdę mówi?

— Najzupełniejszą.

— A? — pytanie Czesławy załamało się w przelotnym wahaniu, odrazu jednak dokończyła.

— Czy mogłaby pani przysiąc?

— Mogłabym.

Przecławska traktowała już Czesławę jak zupełną warjatkę. W ciągu rozmowy zrodziło się w niej już nawet i podejrzenie, czy nie była ona pacjentką, której udało się uciec z tego samego zakładu, gdzie zamknięto Przecławskiego.

— A dlaczego chciała mnie pani wyrzucić za drzwi?

Przecławska, dla której wzmianka o „tamtych“ w wybuchu Czesławy stanowiła pewien orientacyjny szczegół, udała, że się namyśla, czy waha i wreszcie odparła powoli.

— Nie znam pani, skądżesz mogę wiedzieć, czy pani nie była nasłaną przez wrogów mojego męża.

— Co mąż pani tym masonom zrobił? — wybuchnęła Czesława, zmieniając już ton z napastliwego na rozpaczliwie błagalny.

Przecławska stłumiła uśmiech.

— O tem trzeba by długo mówić.

— O, ale ja sobie dam z nimi radę. Żeby tam nie wiem jak byli potężni, ja pierwsza dam sobie z nimi radę.

— Nie wątpię, nie wątpię. Ja tak wielkich zamierzeń sobie nie stawiam i chciałabym przede wszystkim uwolnić męża. Ale żeby móc z panią współdziałać, musiałabym dokładniej wiedzieć, w jaki sposób państwo się poznali, no i zbliżyli.

— Ja pani wszystko opowiem.

— Tu nam niewygodnie. Chodźmy do salonu.

Przecławska wskazała udobruchanej już prawie Czesławie fotel i zająwszy nawprost niej miejsce, zaczęła się przysłuchiwać opowiadaniu. Pierwsze słowa, jak pierwsze krople wezbranej wody przesącza ją się przez tamę, utorowały w duszy Czesławy nurt, którym buchnęły zwierzenia. Po dwóch minutach rozmawiała już z Przecławską tak, jak z najbardziej zaufaną i serdeczną przyjaciółką. I z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziała jej historję swojej miłości od poznania Przecławskiego w sklepie aż do chwili, w której jej wręczył zaręczynowy pierścionek z brylantem, pamiątkę po matce. Przecławska ani razu nie przerywała jej tego opowiadania. W tych momentach, gdy Czesława zatrzymywała na niej wzrok, oczekując widocznie jakiejś uwagi, potwierdzenia, czy zaprzeczenia, poprzestawała na skinieniu głowy, albo uśmiechu, który zawsze mógł dać Czesławie pożądaną iluzję. Czasami błyskało w jej oczach szyderstwo i gasło niepostrzeżone przez Czesławę.

— Więc pani mi pomoże? — dopytywała się Czesława po skończeniu opowiadania, śledząc niepokojnym wejrzeniem Przecławską.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć.

— Dziś jeszcze trzeba go uwolnić.

— Dziś się nie da. Zapóźno.

— A kiedy?

— Jak najprędzej.

— Ja się nie myliłam. Jaka pani dobra.

2) **MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA**

— No, no, ty kuno przekłeta, — powiedział kozak, — zaczynasz bredzić. Nic nie można zrozumieć, co mówisz.

— Masz rację, — powiedział roznosiciel z ostrym uśmiechem. — Lepsze jest porządne kopnięcie nogą. Tak, w brzuch, nieprawdaż, Stiopa?

Przyjaciel mój, pomimo, że przysiągł nie przerywać, spytał:

— Co ma znaczyć to kopnięcie?

— Zobacz pan, wszystko przyjdzie w swoim czasie.

Wracajmy do biografii Nestora Iwanowicza...

Ojciec jego był wieśniakiem bezrolnym, bardzo biednym, który kupował bydło dla rzeźników w Marjupolu. Aż do jedenastego roku życia nasz ataman pomagał ojcu przy rozbieraniu wieprzy. Mówił mi, że zapach krwi wieprzowej inny jest, niż zapach krwi ludzkiej. Ha, tem lepiej dla nas!

Ale jego rodzina żywiła dla niego wysokie ambicje i umieściła go w magazynie w Marjupolu.

Gdyśmy wzięli Marjupol, widziałem starego kupca, u którego służył.

— Ach, powiadał, to nie był dobry pracownik. Istne zwierzę, zawsze pochmurne, zamknięte na dziecię spustów, podejrzliwe, przyglądało się wszystkim oczyma zbyt błyszczącymi. W przeciągu trzech miesięcy złamałem na jego plecach i głowie czterdzieści arszenów drzewa. I nic nie pomogło.

Rozumiem, że nic nie pomagało. Marjupol jest nadmorskim miastem. Jest port, są fale, są małe łobuzy, które dzień cały wałęsają się po ulicach, obdarci, ale wolni. Nasz chłopak był z nimi.

Bili go, a on się mścił.

Ile guzików obciął cichaczem sprzedającym! A rycyna, którą dolewał do herbaty właściciela. Lecz to wszystko niczem jeszcze było. Pewnego dnia, gdy go stary kupiec uderzył w twarz, chłopak opryskał go wrzącą wodą, tak, że musiano starego odesłać do szpitala. Żona jego chciała mu za karę natrzeć uszu. Wbił w jej rękę kły ostre, jak u młodego psa, krew trysnęła i trzeba było kilku ludzi, aby wydrzeć Machnie jego pierwszą ofiarę.

— Obiecujący był djabeł, — leniwie wycedził kozak.

— I dotrzymał, i dotrzymał, — zawołał roznosiciel gorączkowo, — ale nie przerywaj mi, Stiopa, napełniasz mi ochotę opowiadania zbyt szybko, a jeśli będę zbyt szybko opowiadał, pan z Europy nie zrozumie mnie.

Ojca Machny wezwano do magazynu. Oddano mu syna, umieszczono go potem w drukarni i tam stał się cud. Chłopak zapomniał o wszystkim na świecie. Skończyły się zabawy z łobuzami, skończyły włóczęgi nad brzegiem morza. Machno spędza cały czas w drukarni, uczy się liter, sylabizowania. Chce umieć czytać. Starzy robotnicy zdumieni są jego zręcznością, jego żywością. Zachęcają go, to skutkuje bardziej, niż bicie. Staje się szybko dobrym robotnikiem. Pracuje jak koń nad nauką.

Anarchista Wolin — mój towarzysz — pracuje w tej samej drukarni, interesuje się chłopcem, kieruje jego studjami, przechodzi z nim kurs gimnazjalny.

Gdy Wolina zaaresztowano, inny rewolucjonista zajmuje się Machną. Za jego radą zdaje egzamin nauczycielski i dostaje posadę w 1909 r. w okolicach Marjupola.

A to nie trwa długo. Machno zaczyna agitację anarchistyczną wśród chłopów. Władzom nie podoobało się takie profesorstwo. Machno dostał dymisję i osadzono go pod nadzorem policyjnym w Hulaj-Polu.

Od tej chwili wszystko się zaczęło.

Hulaj - Pole i Nestor Iwanowicz Machno nie mogą spotkać się, aby nie wynikła zabawa. W kilka tygodni Nestor Iwanowicz potrafił zdobyć sobie wszystkich ludzi w okolicy.

— W jaki sposób? — spytaacie.

Tego się pan nigdy nie dowie, kochany panie. Takie rzeczy trzeba odczuwać.

Dlaczego człowiek mniej silny, mniej piękny, mniej bogaty, mniej wymowny od wielu innych, dlaczego ten człowiek panuje nad innymi? Czy to pewna iskierka w oczach? Czy nozdrza nabrzmiewające w chwili gniewu, które budzą przestrasz? Czy dźwięk głosu? Czy ręce zbyt suche? Czy usta, których uśmiech przeraża? Decydujcie sami.

Ja znałem Lenina i znałem Machnę. To nie ci sami ludzie, he? Otóż podobni są przez swe zamiłowanie do fanatyzowania. Och! mnie nie nabierali. Przenikałem natychmiast ich sztuczki, lecz lubię tych ludzi.

Uderzył pięścią w stół. Kozak ze wstrętem splunął w kąt.

— Proszę spojrzeć na niego, — powiedział memu przyjacielowi, — wpada w stan podniecenia. Już jest pijany.

— Nie, nie lubię ich, — krzyczał roznosiciel, który nie słyszał tej uwagi. Niech zdychają!...

Czemu ja nie posiadam tego daru?

Nienawidzę ich, ale proszę mi wskazać sposób, aby nie interesować się tym nauczycielem zredukowanym, bez pieniędzy, bez broni, wątłego zdrowia, który staje się, niewiadomo czemu, panem w swej wiosce.

— Kazałem, aby spełnione było — powiedział z oczyma błyszczącymi.

I spełniano. Szli za nim w jego pierwszych ekspedycjach.

Och! bardzo jeszcze były nieszkodliwe! Lecz zaczynało się, zaczynało...

Wchodzą w nocy i włamują się w piwnice bogatych włościan, ziemskich właścicieli, zabierają skrzynie, zapraszają dziewczki. Zabawy bez hamulca odbywają się przy blasku księżycy.

Hulaj - Pole, Hulaj - Pole!...

Starzy kiwali głowami i mówili pod wąsem, że trzeba kres położyć temu bezprawiu. Że to się źle skończy! Lecz w jaki sposób powstrzymać Machnę i jego młodą bandę? Ich sława przeniosła się na inne wioski i dzielne zuchy przyłączyły się do nich. Właściciele obawiali się tych szaleńców.

Nie zapominajcie, że burzliwe chwile roku 1905 niezbyt już były dalekie.

Nadeszły... Zabrzmiał dzwon wolności! Potężna fala zalała kraj. Machno uczył w swej piersi

wklętej wszystkie wołania. On zrozumiał, co to wolność... na krew naszą!

W styczniu z kilku ludźmi napadł na skarbową izbę w Berdiańsku.

Na Boga żywego, żałuję, że nie widział tego pierwszego czynu. Trzech ludzi ręką Machny zgładzonych, kasa zabrana, ucieczka...

Ukraina w ogniu i krwi, miasta zdobyte, bat'ko królem i terrorem, uciekinierem z Czarnych Zarośli: wszystko, co się miało stać, już tu się mieściło.

Ale współnik sprzedał szefa. Machnę ujęto, uwięziono, osądzono, zesłano do ciężkich robót dożywotnich za bandytyzm i zabójstwo. „Bandytyzm i zabójstwo"! Co za piękne słowa! Co za uczciwi ludzie. Nie przeszkodziło to jednak baronowi Wranglowi, aby błagał tego skazańca o przymierze. O, zapewne, było to w kilka lat później i czasy się zmieniły! Uczciwi ludzie potrzebowali band i mordy, aby się nimi opiekowały. Zapomnieli tylko, że ich nowy przyjaciel odbył dzięki nim dziesięć lat więzienia, tak, więzienia na Syberji. To ryje ślady na człowieku, zwłaszcza na takim, jak Machno.

Nie złapano go zresztą tak łatwo. Pięć razy usiłował uciekać. Pięć razy ukarano go zamknięciem w celi i knutem. Ostatnia ucieczka omal że się udała. Był już poza więzieniem, gdy goniący znaleźli go w szopie. Miał ze sobą siekiere. Było trochę przelewu krwi, lecz tamci byli silniejsi.

Kozak w milczeniu zacisnął zęby tak mocno, że aż słabo zgrzytnęły. Towarzysz jego skrzywił się nerwowo, lecz wnet zaśmiał się porozumiewawczo.

— Zajmuje cię to wszystko, zawołał. Chciałbyś znaleźć się w tej szopie, co, Stiopa, wraz z twym mauzerem, twym nożem i dwoma lub trzema towarzyszami? Nie byłiby bat'ki wzięli, bawiąc się, co?

Nie żałuj niczego, dzikusie. Lata te, wierz mi, nie zaszkodziły atamanowi. Nauczyły go zastanawiać się — i nienawidzić!

Dawniej myślał jedynie o hulankach: zabijał, ale dla pieniędzy. W więzieniu miał ochotę zabijać dla zabijania.

Czy sądzisz, że gdy wszedł do celi, miał te same oczy, co wychodząc? Nie, he? W tem leży rzecz cała.

Po swej daremnej próbie ucieczki, pozostał miesiące i miesiące okuty w łańcuchy. Nic nie mówił: z dniem każdym topniał. Żył w nim tylko spojrzenie posępne, lecz jakim życiem, na Boga żywego! A inni więźniowie, którzy przeszli przez ogień i wodę, tak się bali tego spojrzenia, że chodzili koło Machny, jak koło dziecka.

Znałem jednego z jego towarzyszy więzienia, pamiętasz, Stiopa, atamana Czalego? Pierwszorzędnym nożowiczem, nieprawdaż? Otóż Czali mówił mi, że ani on, ani inni nie mogli patrzeć bez dreszczu, jak Machno siedział w ciemnym kącie i z uporem manjaka tarł jedno o drugie swe kajdany na rękach i nogach, jakby chciał je zetrzeć.

Zupełnie jak zwierz złowrogi i brzęczący.

Tarł tak aż do roku 1917-go. Wówczas nastąpiło wielkie wypuszczenie na wolność dzikich zwierząt, amnestja uwolniła Machnę i w jesieni wrócił do siebie, do Hulaj - Pola.

Roznosiciel zatrzymał się chwil kilka, ścisnąwszy rękami wklęste skronie, zdawał się zbierać swe siły najżywsze, najtajniejsze. Twarde cierpienie łamało mu wargi: jego wychudłe policzki drżały.

— Wykolejeniec jestem, szeptał, zapominając widocznie, że go słuchano, wykolejeniec losu. Gdybym przeżył chwilę podobną do tej, jaka dana była Mach-

nie, niech mię potem rozrywają szczypcami przez resztę mego żywota. Ten powrót, och! ten powrót do siebie, po dziesięciu latach, spędzonych na tarcu kajdanów swoich jedne o drugie... A Hulaj - Pole! A mołojcy, którzy go witają! A cała Rosja fermentująca. A nienawiść jego do wszystkiego, zemsta nadchodząca, radość i wściekłość zmieszana, dziewczęta o bujnych kształtach i krew, krew!...

Ja także miałem to wszystko, ale w podrzędny sposób, w mniejszy, bez prawdziwego powodu do nienawiści, bez prawdziwej żądzy mordy. A przytem strach, kabotynizm i literatura. Jakież to było pędzne.

Za każdym zdaniem głos jego się wznosił z jakimś jękiem bitego psa! Te ostre nuty przywróciły go nagle do przytomności. Powiódł po pustej sali spojrzeniem rozpaczonem, lecz gdy tylko to spojrzenie spoczęło na mym przyjacielu, wnet się przemieniło. Zabłyśło w niem okrucieństwo bez hamulca, pragnienie straszliwe odwetu za słabość, jaką okazał. A przyjaciel mój odwrócił oczy z dziwną trwożą, gdyż wyobraził sobie wioskę lub miasto, oddane na pastwę tej wściekłej bezsilności.

— Pan mi uwierzył?—zawołał roznosiciel z histerycznym uśmiechem. Czyż pan nie widzi, że udaję błazna, aby kpić z was, psy jedne!

Wyrwał z rąk kozaka kieliszek wódki, wypił go chciwym haustem, kaszlał długo.

— Nigdy się nie przyzwyczaję do tego napoju chamskiego, —wymamrotał, —ale jednak uspakaja. A więc, szlachetny gościu, ciągnę dalej opowiadanie w nadziei, że nieco rozerwę Waszą Wysokość.

Począł mówić bardzo prędko, jakby chcąc zatopić wspomnienie, które mogło pozostać po jego chwili słabości w przyspieszonym tempie jego opowiadania.

— Wiecie ogólnikowo o etapach kariery Machny. To już należy do historii.

Jako szef bandy, zaczyna rabować wielkie majątki, potem jako partyzant wydaje wojnę Niemcom, później bolszewikom, zawiera przymierze z nimi przeciw Denikinowi, łączy się z Wranglem przeciw bolszewikom. Zdobywa Odesę z atamanem Grigjorjewem, zdradza go i morduje, robi pogrom żydów, burżujów, oficerów, komisarzy, słowem, przez dwa lata teroryzuje całą Ukrainę swą zuchwałością, okrucieństwem, szybkością manewrów i zradami.

Przeżyłem tę całą historję, lecz teraz dopiero widzę jej główne zarysy.

Narazie polegała na tem: atakować i zmykać, bić się, wykorzystać zwycięstwo, poczem przypaść w jakim kącie i, jak ranne zwierzę, lizać swe rany, wracać do sił. Oto wszystko.

— Jakiś ty nudny, jakiś ty nudny!

Słowa te same się wymknęły czerwonemu kozakowi. Czuć było, że jest zniecierpliwiony do ostatnich granic, wyczerpany elokwencją, która go wzruszała.

I poco opowiadać?

Żył się, dobrze się żyło. Teraz oczekiwano. To było jasne, łatwe do zrozumienia. Poco nad tem rozumować?

— Nie wytrwam do końca, —mówił z rozpaczą. — Odchodzę.

Roznosiciel dzienników chwycił go za rękę i czując, że jego uścisk nic nie może wobec tej twardej skóry i kości węzłowatych, próbował wbić w nią paznokcie. Kozak bez słowa uwolnił się lekkim ruchem. Głos roznosiciela zaświstał z błagalnymi i groźnymi nutami.

(D. c. n.).